

Krzysztof KOZIÓŁEK

FURIA

RODZI
SIĘ
W SŁAWIE



Krzysztof KOZIÓŁEK

FURIA

RODZI
SIĘ
W SŁAWIE

Redakcja i korekta

Daniel Lesiewicz

Pomysł okładki

Bogna Urbańczyk-Koziołek

Krzysztof Koziołek

Projekt okładki

Kamil Pietruczynik

www.kamilpietruczynik.pl

Na okładce wykorzystano fotografie:

© Depositphotos.com/Drukarnia Chroma

(s. 1: kobieta i lustro; skrzydełko: książki)

Widokówki pochodzące z albumu Artura Pacygi

„Sława na starej pocztówce”,

wydawca: Urząd Miejski w Sławie (ss. 2, 3 i 4)

Skład i łamanie

Krzysztof Kokosiński

Copyright © by Krzysztof Koziołek 2015

Copyright © by Manufaktura Tekstów 2015

www.manufakturatekstow.pl

Oficjalna strona internetowa autora

www.krzysztofkoziolek.pl

Wydanie drugie

Nowa Sól 2016

ISBN 978-83-943231-5-8

Druk i oprawa

TOTEM - Inowrocław

*Dedykuję
Synom*

*Ziemia ma skórę, a ta skóra ma choroby.
Jedną z nich jest człowiek.*

Fryderyk Nietzsche

ROZDZIAŁ 1

Niedziela 27 sierpnia 1944

Widok okaleczonego ciała był tak wstrząsający, że asystent kryminalny Anton Habicht w okamgnieniu oprzytomniał, błogość porannego zaspania zostawiając hen, na plaży Śląskiego Morza, skąd na miejsce zbrodni dowieziono go autemobylem burmistrza. W ułamku sekundy dotarło do niego, że sielanka urlopu, która jeszcze na dobre się nie rozpoczęła, właśnie definitywnie dobiegła końca. Miał niewielkie, żeby nie powiedzieć: żadne doświadczenie związane z prowadzeniem spraw o morderstwo, ale nawet adept szkoły policyjnej po tygodniu zajęć wiedziałby, że zapowiada się poważne śledztwo. Nikt nie byłby jednak w stanie przewidzieć tego, iż bestialska rzeź, której owoc właśnie zaczął wstrząsać jego trzewiami, była dopiero preludium tego, co miało się zacząć dziać.

Czując nieprzyjemne skurcze, asystent kryminalny skarcił się w duchu za zjedzenie tak ciężkiego śniadania w „Kolumnadzie”. Zdrowotnego rachunku sumienia już jednak nie od był, ledwie zdążył wyjść na dwór, gdy ciałem zaczęły targać konwulsje. Po dłuższej chwili patrzył już tylko ze smutkiem na niedawno skonsumowanego łososa w sosie śliwkowym.

– Piwa też szkoda – sapał, szukając w spodniach chusteczki. Otarł usta ostrożnie, aby rzygowinami nie poplamić rękawa koszuli.

– Mnie też zmogło, Herr Kriminalassistent – tubalny głos należał do Josefa Reintera, szefa posterunku żandarmerii w Sławie¹. – Nie ma się czym przejmować. Najbardziej do-

¹ Sława – niemiecka nazwa Schlawa. 1 lutego 1937 roku Schlawę przemianowano na Schlesiersee, zaś dotychczasową nazwę Schlawaer See (Jeziro Sławskie) zamieniono na Schlesier See. Zmiany dokonane przez nazistowską administrację były podyktowane zbyt słowiańskim brzmieniem nazw.

świadczeni funkcjonariusze Kriminalpolizei z Wrocławia by nie wytrzymali – nie wiedzieć czemu, poczuł sympatię do Habichta, jednocześnie przyłapał się na wyrzutach sumienia, że widząc go pierwszy raz, nazwał w duchu z metraciętym. – Sam Kriminaldirektor puściłby pawia... – przerwał nagle, widząc srogie spojrzenie.

– Czy ja się pana, Herr Hauptwachtmeister, o coś pytałem?
– mówił ostro, składając chusteczkę na czworo.

Jeśli Reinerowi wydawało się, że wspólne rzyganie nawiązało nic porozumienia między nim a policjantem, to grubo się mylił. Habicht sprowadził go na ziemię, zanim jeszcze żandarm zdążył oderwać od niej nogi.

– Wspomniał pan o moim dyrektorze – asystent kryminalny położył nacisk na słowo „moim”, aby jasno dać do zrozumienia, co on, funkcjonariusz policji kryminalnej myśli o zwykłym żandarmerii. – Zna go pan? Miał pan okazję poznać go osobiście? – zadawał pytania takim tonem, jakby jego samego łączyła z dyrektorem kryminalnym zażyła znajomość.
– Przyjechał kiedyś z Wrocławia tutaj do was, na prowincję?
– zrobił pauzę. – Tak myślałem – dodał w odpowiedzi na milczenie Reiner.

Żandarm nic nie mówił, dusząc w sobie złość. O rywalizacji między policją kryminalną i żandarmerią krążyły legendy, teraz miał okazję przekonać się o tym osobiście. Jako szef miejscowego posterunku i zarazem okręgu, miał prawo brać udział w śledztwie w tak ważnej sprawie, jaką było morderstwo. Niestety, zgodnie z niepisаныmi zasadami niemieckiej policji, prowadzenie sprawy przypadało w udziale przedstawicielowi Kriminalpolizei, mimo że Habicht był niższy stopniem. Nie dość tego, facet z twarzy i zachowania wyglądał na ostatnią kanalię!

– A że pan też rzygał, to nadal widać. Ma pan wymiociny na zaroście – zauważył asystent kryminalny nie bez satysfak-

cji, wachając chusteczkę. Najwyraźniej test wypadł pomyślnie, bo schował ją z powrotem do kieszeni spodni.

Reiner wypchnął górną wargę, aby jak najbardziej przybliżyć sumiaste wąsy ku oczom. Niczego nie dostrzegł. Nie mając jednak pewności, czy asystent kryminalny mówi poważnie, czy żartuje, starannie wytarł wąsy.

– Wracamy do środka – polecił Habicht. – Przynajmniej ja wracam. Tego wymaga porządna policyjna robota.

– Wracamy do środka – powtórzył Reiner. Za żadne skarby świata nie chciał oglądać krwawej miazgi, w jaką zamieniło się ciało dziewczyny, musiał jednak robić dobrą minę do złej gry. – W Cegłówce nie ma elektryczności...

– To pan znajdzie lampę.

*

Dom, w którym doszło do morderstwa, był jednym z ośmiu w osadzie o nazwie Cegłówka, położonej niecałe 2 kilometry od Sławy. Budynek był dużych rozmiarów, składał się z obszernej sieni, przestronnej kuchni i czterech izb, do trzech z nich wchodziło się bezpośrednio z sieni, wejście do alkowy wiodło tylko z kuchni. Jedną z izb, najmniejszą, o wymiarach mniej więcej 3 na 4 metry zajmowała czteroosobowa rodzina polskich robotników przymusowych o nazwisku Derlizki. Rodzice pracowali na co dzień w cegielni, nastoletnie dzieci zajmowały się wypasaniem i oporządzeniem owiec w miejscowej owczarni. Pozostałe izby zajmowało małżeństwo Knelke z córką – właściciele obojczy – oraz rodzice gospodarza. Dom i gospodarka były duże, a Knelke należeli do jednych z bogatszych, chociaż na konia ich stać nie było.

Tuż przed świtem 14-letnią Stanisławę znalazł ojciec. Do obowiązków dziewczyny należało, oprócz pomocy w kuchni, poranne karmienie zwierząt, musiała więc wstać bardzo wcześnie. Ciało leżało w sieni, tuż przy drzwiach

wejściowych, z rozrzuconymi rękoma i nogami, spod podwiniętej koszuli wyzierały majtki.

– Herr Hauptwachtmeister, przyczynę zgonu ustali patolog, ale gołym okiem widać, że zginęła od ciosów – Habicht wskazał palcem na koszulę przesiąkniętą krwią, najbardziej w okolicach brzucha. Kucnął, uważając, aby nie wdepnąć w zastygłą na posadzce gęstą maź. – Narzędzia zbrodni nie ma, ale stawiałbym na nóż – bacznie przypatrywał się ciału. – Dokładnie policzy to lekarz, ale widzę co najmniej dziewięć ciosów.

– Boże... – żandarm ucieszył się w duchu, że może asystować z daleka, pełniąc funkcję stojaka dla lampy.

– Bliżej ze światłem proszę – burknął. – Nic nie widzę.

Reiner, chcąc nie chcąc, ukucnął po drugiej stronie ciała, wzdrygając się przy tym z obrzydzenia. Chwilę potem zawodowa ciekawość wzięła jednak górę i zaczął bacznie przyglądać się denatce, śmiesznie przy tym wyginając głowę.

Asystent kryminalny, widząc te wysiłki, nie mógł się powstrzymać przed kolejną złośliwością.

– Herr Hauptwachtmeister, taka okazja nie trafia się pewnie często w tej oazie spokoju, którą jest Sława? – kpił. – Pewnie najcięższe przestępstwa, z jakimi macie tu do czynienia, to kradzieże drobiu?

– Bynajmniej, Herr Kriminalassistent – Reiner postanowił nie być dłużny. – Mieliśmy już tutaj kiedyś zabójstwo. Kilka lat temu w Radzynie znaleziono zwłoki pewnej bardzo zamożnej wdowy. Lekarska obdukcja wykazała, że przyczyną śmierci było morderstwo.

– Złapano sprawcę? – zaciekawił się.

– Nie, wiadomo tylko, że chodziło o pieniądze, bo mąż pani Jokisch przekazał kiedyś na rzecz miejscowej parafii ewangelickiej tysiąc pięćset marek. Tuż przed zabójstwem wdowy wypłacono jej pieniądze, trzymała je w domu – wy-

jaśnił. – Ale to było w czasach, kiedy nie pełniłem jeszcze funkcji Gendarmeriemeistra – zastrzegł szybko.

– Tysiąc pięćset marek? – rzekł z uznaniem.

– Innego razu w Tarnowie Śląskim robotnik z tamtejszego folwarku postrzelił teściową w twarz, mocno ją raniąc. Kobieta przeżyła, ale zięć już nie, zaraz potem postrzelił się w podbrzusze i zmarł wskutek odniesionych ran.

– Podbrzusze? – poczuł nieprzyjemne mrowienie we wspomnianej części ciała. – Strzelanie do teściowej to nie jest zwykła rzecz, ale zdarzają się takie przypadki. Ale żeby strzelać sobie w kutasa?

– Było też kilka samobójstw – Reiner nie podjął tematu.

– W tym jedno szczególnie smutne.

– Dlaczegoż to? – zainteresował się z miejsca.

– Powiesił się Julius Sämisch, pomocnik policjanta. Z powodu problemów finansowych nie mógł wyżywić swojej rodziny – mówił wolno. – Pozostawił żonę i sześcioro dzieci.

– Nic dziwnego, że nie mógł utrzymać rodziny, skoro zamiast pracować tylko dzieci płodził – Habicht pokusił się o następny przytyk. – Ale morderstwo mieliście do tej pory tylko jedno? A już się bałem, że będę się musiał oglądać za siebie na każdym winklu – zaśmiał się sztucznie.

Szef sławskiej żandarmerii nic nie powiedział, wbił spojrzenie w podłogę.

– Kończmy, pora obiadu się zbliża – Habicht nie wiedzieć czemu, był wielce z siebie zadowolony.

– Chwileczkę, Herr Kriminalassistent – wstał, podszedł do narożnika sieni, w którym stało wiadro ze ślumpą², o czym wieszczył wymowny fetor. Najwyraźniej rano nikt już nie zdążył go opróżnić. – Coś tutaj jest – obniżył lampę, niemal dotykając nią posadzki.

– Gdzie?

² Ślumpa: brudna, śmierdząca woda; fekalia.

– Tutaj – pokazał palcem na biały proszek.

– Niech to zobaczą – Habicht wyjął chusteczkę, położył na podłodze i dopiero na niej oparł kolano. – Potrzebuję czegoś, w co można by zapakować próbkę, zanim rozniesie to wiatr.

Reiner zniknął w kuchni, skąd chwilę później dobiegł trzask otwieranych i zamykanych drzwiczek od komody. Wrócił z tytką³.

– Jest czysta w środku, sprawdziłem – zaznaczył, zanim jeszcze asystent kryminalny zdążył zadać pytanie. – Nieużywana. Łyzeczka też jest czysta.

Habicht nabrał proszku na łyżeczkę, wsypał do tytki i skrupulatnie zwinął na trzy razy. Następnie zwilżył śliną palec i przytknął do podłogi. Najpierw powąchał, potem polizał.

– Mąka – zawyrokował. – Ale musi to jeszcze potwierdzić badanie kryminalistyczne.

Żandarm poszedł w jego ślady.

– Mąka – potwierdził, oblizując palec. – To może być ważny dowód rzeczowy – dodał z satysfakcją.

– Czy ważny, to się okaże – prychnął lekceważąco. – Sam pan mówił, że ta dziewczyna pomagała też w kuchni. Pewnie lepiła wczoraj kluski śląskie albo piekła ciasto i nie posprzątała po sobie.

– Jakby to było w tamtej części sieni, to by się zgadzało – pokazał palcem na drzwi wiodące do kuchni.

– Tu żeśmy skończyli, Herr Hauptwachtmeister – Habicht uznał dyskusję za zakończoną. – Teraz chciałbym porozmawiać z gospodarzami.

*

Bez umundurowania Habicht czuł się, jakby był w negliżu: denerwowało go to. Nic więc dziwnego, że przesłuchanie zapoczątkował od pouczenia, co grozi za zatajanie istotnych informacji przed policją. Gorzej zacząć nie mógł,

³ Tytka: papierowa torebka, np. na cukier, mąkę.

gospodyni od razu nabrała do niego niechęci. Odpowiedzi na standardowe pytania niczego nie wyjaśniły. Drzwi na noc zmykała Marianna Derlizka, było to kwadrans na jedenastą wieczorem. Córka była wtedy w domu, w kuchni. Okazało się bowiem, że jako jedyna z Derlizkich nie spała w przynależnej im izbie. Powód był prosty: brakowało już dla niej miejsca.

– To znaczy, że w nocy mogła niepostrzeżenie dla innych otworzyć drzwi i wpuścić mordercę – dedukował Habicht.

– Klucz na noc zostawał w zamku?

– Był wyjmowany – odparła gospodyni, Frau Knelke. – Wisiał zawsze przy futrynie. To jakby ktoś z pola wracał, żeby wejść mógł, jak inni spali.

– Czyli jest też drugi klucz?

– Jest.

– Chowany gdzieś?

– Pod kamieniem przy studni.

– Czyli ktoś mógł przyużyć...

– Kiedy ostatnio zapasowy klucz był używany? – wtrącił Reiner. – W te żniwa?

– W żniwa na pewno niejeden raz... – odpowiedziała.

– Może być, że także zeszłej niedzieli, jak żeśmy do Sulechowa pojechali z wizytą do siostry. Bo musi pan wiedzieć, że moja siostra...

– Pani siostra mnie nie obchodzi – Habicht przerwał jej bezceremonialnie. – Za to interesuje mnie mąka.

– Mąka? – kobieta o mało nie spadła z krzesła.

– Gdzie pani chowa mąkę? Kto ma do niej dostęp? Co robiła w sieni? – strzelał pytaniami jak z karabinu.

– Gdzie chowam mąkę? Kto ma do niej dostęp? Co robiła w sieni? – powtórzyła jak echo. – Co mąka robiła w sieni?!

– To ja się pytam, Frau Knelke! – warknął. – Gdzie trzymacie mąkę?

– W kuchni... Czasem kilogram w sklepie, ale to tylko tak na chwilę, bo wilgoć łapie.

– W sklepie? – Habicht zmarszczył brwi tak mocno, że zlały się w jedną. – W jakim sklepie?

– No w sklepie... – kobieta patrzyła na asystenta kryminalnego jak na jarmarkowe dziwadło.

– W jakim sklepie? – był coraz bardziej zdenerwowany.
– W tej wsi jest sklep?

– Herr Kriminalassistent... – szef żandarmerii szukał odpowiednich słów. – U nas, na pograniczu, sklep oznacza piwnicę.

– Piwnicę?

Reiner potaknął.

– A jakbym chciał pójść do sklepu, to gdzie pójść? – spytał Habicht niepewnie.

– Do składu.

– Pomyłone to wszystko... – burknął bardziej do siebie.
– Więc mąkę przechowujecie w kuchni, ewentualnie w piwnicy, to znaczy w sklepie?

Pani Knelke dostojnie skinęła głową.

– Czy wczoraj dziewczyna przygotowywała coś z mąką? Kluski śląskie? Ciasto? – kontynuował Habicht.

– Wczoraj była sobota, mieliśmy gzik na obiad – odparła.
Asystent kryminalny spojrział na żandarma błagalnym wzrokiem.

– Kartofle z białym serem i cebulką – wyjaśnił Reiner.

Na samą myśl Habicht poczuł ssanie w żołądku.

– A w piątek? – asystent kryminalny miał wrażenie, że kręci się w kółko.

– W piątek były kluski śląskie – potwierdziła.

– To może wtedy dziewczyna rozsypała nieco mąki? – kółka były coraz szybsze i ciaśniejsze.

– Stasia to porządna pracownica, nie migąła się od roboty
– zaprzeczyła gwałtownie. – Zawsze, jak pracowała w kuch-

ni, trzymała porządek wokół. Nawet, jakby jej szczypta mąki gdzieś tam niechący upadła, to by ją po sobie posprzątała. To porządne dziecko było.

– Już to pani mówiła – zauważył cierpko.

– A bo to ja skłamałam? – obruszyła się. – Cała rodzina Derlizkich to porządni ludzie. I dobrzy pracownicy.

– Wszyscy są dobrzy, do czasu – skonstatował Habicht.

– A może dziewczyna kradła jedzenie? – podłapał nagle.

– W naszym gospodarstwie dobrze karmimy robotników

– pani Knelke była już zła jak osa. – Nikt głodny ani obdarty nie chodzi!

– Zła gęba ostrzejsza od miecza – szepnął pod nosem, a na głos powiedział: – To wszystko, pani Knelke. Przyprowadzić Polaków.

*

Rodzice dziewczyny byli jednak w takim szoku, że nic nie dało się z nich wyciągnąć. I to mimo perfekcyjnego niemieckiego, jakim się posługiwali. Habicht, coraz bardziej rozsierdzony i coraz bardziej głodny, zdecydował o powrocie do Sławy. Do pilnowania domu i ciała do czasu przyjazdu policyjnego fotografa i laboranta wyznaczył nadzorcę sąsiedniego majątku.

– Gdzie jest automobil, Herr Hauptwachtmeister? – spytał, gdy zamknęli za sobą dźwierka.

– Musiał wracać do miasta – Reiner ujął węża w palce.

– To wezwiemy automobil z posterunku – polecił tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Proszę zatelefonować.

Żandarm okręcił węża wokół wskazującego palca prawej dłoni.

– No tak... Nie ma elektryczności, to co tu dopiero mówić o telefonowaniu – zżymał się Habicht. – Kilometr za miastem, a koniec świata!

– Na pocieszenie pana asystenta kryminalnego powiem, że na posterunku nie mamy do dyspozycji automobilu...

– To jak wykonujecie kontrole w terenie? – był autentycznie zaskoczony.

– Za pomocą środka lokomocji tego typu – patrzył na dwa bicykle oparte o ścianę domu. – Dysponujemy służbowym bicyklem. Jednym.

– Pan chyba kpi, Herr Hauptwachtmeister! Mam taki kawał jechać bicyklem? W tym skwarze?! – denerwował się.
– Niech pan załatwi jakiś powóz!

– W Cegłówce nie ma żadnego konia – zauważył. – Można by zaprząć dwie krowy, ale szybciej będzie rowerem. I bardziej reprezentacyjnie, Herr Kriminalassistent...

– To można powiedzieć, że z nas najlepsze partie w całej wsi – Habicht zaklął pod nosem, przypomniawszy sobie stary dowcip: „Pochodzę z bogatej rodziny, mój dziadek miał rower”.

ROZDZIAŁ 2

Czym Reiner przekonał panią Knelke, aby użyczyła bicykli, Habicht nie wiedział. Wracać na podwórko nie miał ochoty, a z daleka słyszał tylko lament kobiety, jakby mieli te pojazdy zarekwirować na zawsze, a nie pożyczyć na kilka godzin.

Widząc szefa sławskiej żandarmerii, zabrał się za podwijanie nogawek. Kiedy wsiadali na bicykle, od Sławy rozległo się bicie dzwonów w kościele katolickim na Anioł Pański. Na myśl o tym, że jest już południe, żołądek Habichta przypomniał o swoim istnieniu, burcząc ze zdwojoną siłą. Tak zmotywowany, nacisnął na pedał z całej siły i w tym momencie poleciał do przodu, niemalże uderzając brodą w kierownicę.

– *Scheisse!* Co za gówno! – asystent kryminalny miał jedną szansę na dwie, żeby wybrać dobry rower i skrewił.

Już po chwili było jasne: bicykl miał zepsutą piastę, bo co kilka obrotów pedały przeskakiwały, zgrzytając przy tym niemiłosiernie. Habicht był jednak zbyt dumny, aby zaproponować żandarmowi zamianę.

Jechali kawałek w milczeniu. Nagle Reiner, może dla zabicia krępującej ciszy, a może z obowiązku gospodarza, zaczął opowiadać.

– Cegłówka zawdzięcza swoją nazwę nieistniejącej już cegielni, w której niegdyś wyrabiano cegłę czerwoną. W cegielni, która działa obecnie, wyrabia się cegłę białą. Z obu wybudowano wiele sławskich domów...

– Rys historyczny sobie darujmy, Herr Hauptwachtmeister – przerwał, klnąc na przeskakującą piastę. – Niech mi pan coś opowie o ofercie i jej rodzinie. O ile coś pan wie.

– Rodzina Derlizkich jest jedną z najliczniejszych, jeśli chodzi o robotników przymusowych. A państwo Knelke to najbogatsi gospodarze w Cegłównce...

– Ale konia nie mają! – parsknął śmiechem.

– Przed wojną we wsi były bodaj ze dwa, ale w 1939 roku wojsko je zabrało. Teraz należy się tylko przy większych arealach, tutaj za małe są – wyjaśniał cierpliwie. – Gospodarze z Cegłównki, żeby obrobić pole, pożyczają konie ze Sławy, a potem to odrabiają własną pracą. Niektórzy dorabiają też w cegielni przy załadunku cegieł.

– Dzieci uczą się w Sławie? – zadał pierwsze lepsze pytanie.

– Właśnie, że nie. Uczą się w Przybyszowie. Do Sławy ludzie z Cegłównki chodzą do kościoła – odpowiedział żandarm. – Zaraz za Przybyszowem biegła kiedyś granica. Od Potrzebowa była już Stara Polska, jak się mawiało. Jeszcze rok temu stał tam posterunek graniczny, ale go zlikwidowano.

– Posterunek graniczny? Pewnie zwykły szlaban w szczerym polu – ironizował.

– Szlaban i owszem, ale w żadnym szczerym polu, tylko w uroczej wierzbowej alejce. Gdyby ją pan zobaczył... – rozmarzył się. – Chociaż sielankowa sceneria bywała złudna – zasępił się. – To właśnie niedaleko Potrzebowa polscy celnicy zastrzelili Gerharda Gruhna, syna jednego z naszych rolników. Gruhn nie posiadał paszportu, a przekroczył granicę, gdyż chciał odwiedzić swoją żonę w Potrzebowie. A musi pan wiedzieć, Herr Kriminalassistent, że przed wojną w tym miejscu granica była całkiem zamknięta dla ruchu. Mogła ją przekraczać tylko straż ogniowa jadąca do pożaru. Prawo to mieli także lekarz i położna ze Sławy, których wzywano do Polski na ratunek. Wszyscy inni musieli korzystać z przejścia granicznego Łupice-Kaszczor – opowiadał dalej. – Chociaż ludzie mawiali, że jak któryś rolnik żył dobrze z celnikami, a i butelczynę wódki co jakiś czas ze sobą przywiózł, to i szlaban w górę wędrował, bez paszportów żadnych.

– Urokliwe życie na prowincji – cmoknął w taki sposób, że nie było wiadomo, czy mówi z podziwem, czy kpi. – Przybyszów to musi być duża wieś. Posterunek graniczny, szkoła...

– Spora – przyznał. – Z tą szkołą to był problem na początku wojny, bo część nauczycieli została powołana do wojska i ewangelików połączono z katolikami. Przed lekcjami dzieci zawsze odmawiały pacierz i po połączeniu, matki katolickich dzieci złożyły skargę, że ich pociechy muszą odmawiać pacierz ewangelicki – opowiadał. – Żeby wszystkich pogodzić, nauczyciel, co był już mocno starszy, zadecydował, że zamiast pacierza codziennie inne dziecko zaintonuje piosenkę. Któregoś razu chłopcy zrobili mu na złość i zaczęli śpiewać „Die Fahne hoch”⁴. Nauczyciel się wściekł... – przerwał, widząc zaskoczoną minę asystenta kryminalnego.

– Dlaczego? – zdziwił się niepomiernie. – Przecież pieśń ku czci Horsta Wessela to nasz hymn.

⁴ „Flaga w górę”.

– Może chodziło o to, że śpiewali za głośno? – Reiner był wściekły sam na siebie za brak czujności. Gdyby mógł, cofnąłby czas o kilka sekund i ugryzł się w język. Habicht momentami zachowywał się jak ostatnia gnida, a z takimi trzeba było uważać. Podejrzewał, że asystent kryminalny jest zagorzałym nazistą. I jak miał takiemu wytłumaczyć, że nauczyciel ze szkoły w Przybyszowie, podobnie jak wielu innych mieszkańców Sławy i okolic, był przeciwny Adolfowi Hitlerowi? – Dojeżdżamy – rzekł z ulgą, mogąc porzucić niewygodny temat. – Od razu na posterunek?

– Tak, muszę zdać raport do Głogowa – wysapał.

*

Kiedy wjechali na rynek, Habicht ściekał już potem. Nic więc dziwnego, że na widok pompy stojącej naprzeciwko hotelu „Złota korona” z całej siły nacisnął na pedały, co niemal skończyło się upadkiem, piasta bowiem uparcie nie zamierzała przyjść z pomocą.

– Herr Kriminalassistent, ta pompa nie działa! – rzucił szybko Reiner.

W odpowiedzi dało się słyszeć jęk zawodu.

– Przy zajeździe Steltera jest pompa, działająca – żandarm wskazał ręką na drugą stronę rynku.

Minęli kościół ewangelicki, żandarm rzucił rower na bruk, energicznie chwycił za ramię, zaczął pracować, ale dało się tylko słyszeć szum zasysanego powietrza.

Habicht znów jęknął, zastanawiał się, co jeszcze tego dnia pójdzie nie tak. Pierwszy raz zirytował się, gdy, siedząc w „Kolumnadzie”, dopiero co wziął do ręki kufel zimnego piwa i zmoczył usta pianą, za plecami usłyszał głos: „*Herr Kriminalassistent Anton Habicht? Telefon z Głogowa*”.

Drugi raz zalała go krew, kiedy w słuchawce usłyszał głos dyżurującego policjanta macierzystej Kriminalpolizei. W tej jednej chwili marzenia o dwudniowym niby-urlopie legły

w gruzach. Niby, bo zgodnie z czerwcowym zarządzeniem Reichsführera SS Heinricha Himmlera wstrzymano wolne dla wszystkich formacji policyjnych. Jego wypoczynek miał więc trwać naciągane dwa dni: popołudnie w sobotę, po skończonej służbie i niedzielę, którą miał tym razem wolną.

Potem było rzyganie, jakiego w życiu nie doznał, nawet po najbardziej zakrapianym Świącie Policji. I jeszcze ten wiejski głupek, którego nie wiadomo, kto zrobił szefem żandarmerii, a który nie potrafił nawet zorganizować samochodu!

Reiner wkładał coraz więcej sił w pompowanie, tymczasem Habicht był bliski wybuchu. Od połowy drogi z Ceglówki przed zamglonymi oczami majaczył kufel osieroconego zimnego piwa. Teraz był już tak zdesperowany, że zgodziłby się na oranżadę, byleby tylko ścianki naczynia rosły się potem!

Oranżada... Ją właśnie piła ładna blondynka, którą już na pierwszy rzut policyjnego oka sklasyfikował jako kobietę do towarzystwa, i to taką, która nie pracowała w pierwszym lepszym burdelu. O profesji, jaką się zajmowała, świadczył też towarzyszący jej mężczyzna: z wielkim brzuchem, brzydki jak noc i do tego potwornie obleśny. Żadna miłość nie wybaczyłaby takiego wyglądu, kobieta musiała być z nim dla pieniędzy.

Westchnął głęboko, patrząc, jak szef żandarmerii wciąż walczy z pompą, chociaż wszystko wskazywało na to, że czarna seria potrwa nadal. Pocieszała go już tylko jedna myśl: z posterunku zatelefonuje do Głogowa, złoży relację dyżurnemu, po czym przekaże sprawę bardziej doświadczonemu funkcjonariuszowi, najpewniej nadsekretnarzowi kryminalnemu Martinowi Böhme. Potem zje obiad i być może zdąży jeszcze na plażę przed odjazdem ostatniego pociągu.

Wtem woda zaczęła lecieć, jakby niebiosa wreszcie zlitowały się nad smutną dolą asystenta kryminalnego. Habicht najpierw umył ręce, potem twarz, schłodził też rozpalo-

ny kark. Następnie nadstawił połączone dłonie, poczekał aż woda przeleje się na bruk i nabrał jej w usta. Przytrzymał chwilę, sycąc się zimnem. Już miał przełknąć, kiedy rynkiem, bez żadnego ostrzeżenia, wstrząsnął dźwięk trąbek, a zaraz potem donośny męski śpiew: „Niech załopoczą flagi na wie-
trze!”

Zaskoczony, zakrztusił się i przez dłuższą chwilę nie mógł opanować spazmów. Po kilkunastu sekundach bezowocnych prób złapania oddechu, dotknął dłonią pleców, patrząc błagalnie na żandarma. Temu nie trzeba było dwa razy powtarzać, uderzył z całej siły. Usłyszawszy głuchy jęk wydobywający się z ust asystenta kryminalnego, zdał sobie sprawę, że być może za bardzo wczuł się w rolę.

Ten jednak nie skomentował, otarł tylko pomoczoną brodę. Ważniejsze od strofowania Reintera było oddanie honorów maszerującym chłopcom z Hitlerjugend. Ci stawiali miarowe kroki do dźwięków trąbki, jeden z przodu niósł wielki sztandar z ogromną swastyką.

*

– Świetnie prezentują się nasi dzielni chłopcy, nieprawdaż? – na rozpromienionej twarzy Habichta nie było śladu po wcześniejszej złości i zmęczeniu. – Nasza przyszłość!

– Jaki równy krok – zawtórował Reiner, zadowolony, że asystentowi kryminalnemu wrócił dobry humor. – Będą z nich dobrzy marynarze.

– Marynarze? – zaciekawiał się momentalnie. – Jest tu szkoła marynarki?

– W dawnym schronisku młodzieżowym zorganizowano Marine Hitlerjugend. Jakies pół kilometra za „Zajazdem nad jeziorem”.

– Jacy wysportowani – podziwiał, nie mówiąc na głos tego, co w tym momencie pomyślał. Na tym etapie wojny do szkół Hitlerjugend na terenie całej Rzeszy – przygotowujących

chłopców w wieku 14-18 lat do służby w różnych formacjach wojskowych – trafiali praktycznie wszyscy nadający się do żołnierki. Ci tutaj, maszerujący równym krokiem, prezentowali się nadzwyczaj korzystnie, nie przypominali wyglądem żadnej zbieraniny.

– Jednostka w Sławie jest elitarna – szef żandarmerii jakby czytał w myślach. – Szczegóły szkolenia są tajne, ale słyszałem, że po kursach tutaj chłopcy trafiają do najlepszych jednostek.

Nagle rynkiem wstrząsnęła cisza. Habicht zaczął się rozglądać wokół zaniepokojony. Chłopcy z Hitlerjugend maszerowali nadal, tak samo miarowym krokiem, tylko trębacz nie używał instrumentu.

– Coś się stało? – spytał zaskoczony.

Żandarm zadarł głowę wysoko, wpatrując się niemal w sam czubek kościelnej wieży.

– Pastor zaczął mówić homilię – podkreślał węża, patrząc badawczo na asystenta kryminalnego.

– I jaki to ma związek?

– Duży – Reiner byłby gotów postawić roczną pensję, że za chwilę policjanta opuści dobry humor. – Na czas wygłaszania homilii kadeci otrzymują rozkaz ciszy, żeby nie zagłuszać pastora.

– Kto zgodził się na coś takiego?!

– Hermann Eckert, ważna osobistość, rządzi jedną trzecią landratu głogowskiego. Jest też dowódcą miejscowego Hitlerjugend – odpowiedział rzeczowo. – Bywa też częstym gościem na nabożeństwach. Podobno bardzo sobie ceni homilie naszego pastora. Pewnie stąd ów rozkaz ciszy.

Do uszu Habichta ostatnie zdania już nie dotarły, skutecznie zagłuszyło je zgrzytanie zębami.

– Miejscowym duchownym przydałoby się porządne szkolenie światopoglądowe – rzucił, chwytając rower i ruszając

w stronę ratusza. – Pastor ewangelicki wymusza ciszę na kadetach, a ten wasz katolicki ksiądz... Jak on się nazywa?

– Erich Feiereis – podpowiedział. – Pełni funkcję proboszcza od 1925 roku.

– Ten to już w ogóle... – burknął. – Żeby nie wywiesić *Hakenkreuzfahne*⁵ na listopadowe święto NSDAP? Czytałem o tym dokładną relację w „Nordschlesische Tageszeitung”. Pamiętam każde słowo, niejeden raz dyskutowaliśmy o tym wydarzeniu na zebraniach partyjnych – zżymał się. – To było – przez chwilę drażył w pamięci – w 1936 roku?

– W 1935 – sprostował cicho Reiner. – Sąd Obwodowy w Głogowie skazał go za ten haniebny czyn na pięćdziesiąt marek grzywny – rzucił dużo głośniej, wpatrując się w oddalające się plecy asystenta kryminalnego. Miał nadzieję, że informacja o karze udobrucha sponiewieraną duszę Habichta. Dlatego postanowił już nie rozwijać wątku podejścia sławian do obecnej władzy. Jak na przykład organisty i nauczyciela muzyki Schrötera, który, z tego co mówiło się po kryjomu, był nazistom zdecydowanie przeciwny.

Dochodzili już do ratusza mieszczącego się w okazałej kamienicy na rynku, pod numerem szóstym, kiedy Reiner uświadomił sobie, że popełnił ogromny błąd: przed wyjazdem do Ceglówki nie powiadomił porannej zmiany o panującej tam sytuacji. Chciał w ten sposób zapobiec rozprzestrzenianiu się ewentualnych plotek, ale teraz wyszedł z tego kompletny klops, przypomniał sobie bowiem, że w niedzielę dyżurował pomocnik żandarma Darius Schymura, któremu, czego jak czego, ale nadmiernej inteligencji zarzucić nie można było. Normalnie Reiner by się takimi drobiazgami nie przejmował, w niedzielę z reguły na posterunek nikt nie przychodził, ale ten służbista z Kriminalpolizei był gotów zrobić awanturę o byle co!

⁵ Hakenkreuzfahne: oficjalna flaga III Rzeszy Niemieckiej ze swastyką.

Na tę myśl bezwiednie przyśpieszył, chcąc wyprzedzić Habichta i ostrzec Schymurę, ale było już za późno. Asystent kryminalny dopiero co rzucił spojrzeniem na orła pruskiego wiszącego na ścianie magistratu i stał już drzwiach, jakby specjalnie je blokując. A gdyby tego było mało, na schodach czekała Ida Rothe. Gdy tylko postać Reinera pojawiła się w budynku, zaczęła uskarżać się na sąsiada, który bił kurę z samego rana. W niedzielę!

– Później! – sapnął żandarm, sadząc po dwa stopnie naraz.

ROZDZIAŁ 3

Kolumna marszowa Hitlerjugend wkraczała z rynku w Bahnhofstrasse⁶, gdy trębacz znów zaczął drażnić słuch co wrażliwszych sławian, niektórzy nawet po cichu – nikt nie odważyłby się zrobić tego ostentacyjnie – zamykali okna. Turystom przechadzającym się po reprezentacyjnej ulicy miasta dźwięki trąbki absolutnie nie przeszkadzały. Dla nich maszerujący kadeci Kriegsmarine byli jednym z kolejnych elementów miejscowego folkloru. Szczególnie wojskowi różnych formacji, których wielu spacerowało trotuarami, rzucali długimi spojrzeniami, niektórzy oddawali honory, inni – z rękoma na temblakach, a takich tu nie brakowało, podobnie jak żołnierzy poruszających się przy pomocy kul – dostojnie kiwali głowami.

Spośród tłumu wyraźnie odznaczały się dwie kobiety, mniej więcej trzydziestoletnie. Ubrane były w zwiewne sukienki, już na pierwszy rzut oka widać było, że kupione nie w pierwszym lepszym sklepie tekstylnym czy uszyte przy pomocy domowej maszyny. Jeśli dodało się do tego parasolki – słońce prażyło niemiłosiernie – gustowne kapelusze i torby

⁶ Indeks nazw topograficznych znajduje się na końcu książki.

kąpielowe – również jak z żurnala, było już wiadomo, którą warstwę społeczną panie reprezentowały. Gdyby jednak ktoś miał jeszcze jakieś wątpliwości, wystarczyło spojrzeć na oblicza pełne nieskrywanej nudy. Co nie zmieniało faktu, że twarze te, jak i całe sylwetki, przyciągały wzrok mężczyzn, jak i kobiet, te drugie z reguły mało umiejętnie próbowały maskować oznaki zazdrości.

Obie piękności wolnym krokiem zbliżały się akurat do skrzyżowania Bahnhofstrasse z Seestrasse, kiedy dogoniła je kolumna kadetów.

– Jacy oni piękni – westchnięcie było pierwszej klasy, studiowane długimi godzinami. – Moja Cisiu, gdybym miała kilka lat mniej w metryce...

– Chyba kilkanaście, moja droga, chyba kilkanaście! – Franziska von Häften parsknęła śmiechem, przekrzywiając nieco parasolkę, ta zasłaniała jej bowiem najprzystojniejszego z chłopców.

– A czy ty wiesz, że oni mają zakaz samotnego wychodzenia poza teren szkoły? – w głosie Margarete von Hellmich pobrzmiwało ogromne zbulwersowanie. – Wychodzą jedynie w grupach zorganizowanych, na jakieś drobne zakupy do sklepu kolonialnego czy do apteki.

– Nie może być? – świetnie się bawiła kosztem przyjaciółki. – To straszne...

– Straszne? Nieludzkie! – rzekła nieco za głośno, kadeci razem z trębaczem byli już bowiem daleko. – Jak oni mogą wytrzymać bez towarzystwa dziewczyn? – dodała już ciszej, chociaż były same na trotuarze.

– Moja droga – zaczęła tonem guwernantki łąjącej skórę niesfornego ucznia, przechodząc przez Seestrasse. – Trzecia Rzesza potrzebuje żołnierzy, nie bawidamków.

– Cisiu – rzekła pobłaźliwie. – Jesteśmy tu same. Ton politycznej poprawności, który musimy przybierać na salonach,

jest tutaj ze wszech miar niekonieczny – mówiła, śmiesznie akcentując słowa.

– Moja droga, żyjemy w czasach, kiedy nawet ściany mają uszy a jedno nieopatrznie wypowiedziane zdanie może zażyć na całym twoim życiu – zauważyła Franziska von Häften poważnie.

– Bywają zdania, które ważą na przyszłości nie tylko podczas wojny...

– Dla przykładu?

– Kiedy poślubiałam świętej pamięci hrabiego von Hellmicha, zdawałam sobie doskonale sprawę, że małżeńska przysięga zmieni całe moje życie. Bałam się wówczas okropnie, na szczęście hrabia był łaskaw wcześniej odejść do Pana, zostawiając mi całkiem pokaźny majątek – zachichotała.

– Margarete, jesteś, jak zwykle, niepoprawna! – dała jej udawanego kuksańca.

– Cisiu, spójrz na zegar – parasolką pokazała na kościelną wieżę górującą nad resztą rynku, a to za sprawą niemal 50 metrów wysokości. – Chodźmy na molo, za trzy kwadranse będzie rejs! Za nic nie chciałabym się spóźnić!

– Chodźmy, ale najpierw zapraszam cię do Klinkego na szneki⁷ – pokazała na kamienicę, przy której się zatrzymały.

– Nie chcę szneki – udawany dąs był jak żywy. – Chcę amerykańkę!

– Niech będzie i amerykańka! – zaśmiała się radośnie. – Dla ciebie wszystko.

Piekarnia i ciastkarnia Paula Klinkego mieściła się pod adresem Bahnhofstrasse 27, między pocztą a fryzjerem i słyęła w okolicy z pysznych wytworów. Amerykana była ni to bułką, ni ciastkiem. Receptura owiana była nimbem tajemnicy, ale po żółtym spodzie można było się domyślać, że przysmak

⁷ Szneka: drożdżówka.

jest robiony na proszku do pieczenia. Od spodu amerykański polane były obfitą polewą: lukrową, czekoladową albo pół lukrową i pół czekoladową. Polewę dawano od dołu, bo góra specjału była mocno wyrosnięta.

Co prawda przed lokalem nie było stolików, ale hrabinom to nie przeszkadzało. Kupiły po jednej amerykańskiej i ze smakiem zatopiły w nich lśniące bielą zęby, nieśpiesznym krokiem zmierzając w kierunku przystani.

*

Wbieganie po dwa stopnie naraz na drugie piętro sławskiego ratusza było musztardą po obiedzie. Kiedy Reiner stanął w drzwiach, mógł już tylko patrzeć i modlić się, aby gość z Głogowa nie dostał apopleksji.

A ta zbliżała się nieuchronnie od momentu, w którym Habicht przekroczył próg posterunku i dostrzegł sterty walających się gdzie popadnie papierów. Wziął jednak głęboki wdech, tuląc w sobie ostatni promyk nadziei.

– Kriminalassistent Habicht – przedstawił się. – Dzień dobry.

– Dzień dobry – Schymura ledwo podniósł wzrok znad talerza, na którym mościła się pajda złożonego na dwa ciemnego chleba, pomiędzy którego wystawał gruby plaster kaszoka⁸. Widząc kurdupla stojącego w drzwiach, wrócił do konsumowania obiadu przygotowanego przez małżonkę.

– Kriminalassistent Habicht – przedstawił się raz jeszcze, cedząc wolno słowa.

– Habicht? – do pomocnika żandarma dotarło tylko nazwisko. Podniósł głowę, lustrując nieznanego sobie petenta. W języku polskim słowo „Habicht” oznaczało jastrzębia, ale zdaniem Schymury właściciel tego nazwiska wyglądem przypominał co najwyżej gołębia i to jeszcze z przetrąconym skrzydłem. Ledwie bowiem wystawał nad kontuar, co oznaczało, że miał niewiele ponad półtora metra wzrostu!

⁸ Kaszok: kaszanka.

– Baczość! – ryknął nagle Reiner w rozpaczliwej próbie ratowania sytuacji.

Schymura wyprężył się jak struna.

– Kriminalassistent Habicht, Kriminalkommissariat Głogów – Reiner przedstawił policjanta.

– Kriminalassistent?... Kriminalkommissariat?... – dopiero teraz do Schymury dotarło znaczenie tych słów.

– Pomocnik żandarma Darius Schymura – pokazał palcem na podwładnego.

– Właśnie mieliśmy okazję się poznać, bo przyjemnością to bym tego nie nazwał – Habicht ciął słowami jak brzytwą. Nic dziwnego, że funkcjonariusz wyglądał jak ostatni łachmyta, skoro w jego żyłach płynęła świńska polska krew, przed zmianą nazwiska brzmiało ono z pewnością Szymura... – Pański człowiek, nie dość, że spożywa posiłek w czasie pracy, to jeszcze jest nieregulaminowo ubrany – nie omieszkał skorzystać z okazji.

– Nieregulaminowo? – rzekli jednym głosem żandarmi.

– Mundur należy zapinać do ostatniego guzika. Nie mówiąc już o tym, że powinien być wyprasowany – Habicht cmoknął z niesmakiem. Podejrzenia, jakich nabrał w Cegłówce, zaczynały graniczyć z pewnością: posterunek w Sławie był z gatunku tych, w których żandarmi patrolę traktują jak zwykły spacer, a na kwestie służbowe – w tym szczególnie personalne – największy wpływ mają nie władze miasta i powiatu, ale małżonki miejscowych funkcjonariuszy. – Zakaz utrzymywania zażyłych kontaktów z robotnikami przymusowymi też pewnie ignorowali – zachnął się w myślach. A może i któryś z miejscowych żandarmów został tu karnie przeniesiony z Kraju Warty za niezdyscyplinowanie? – Skąd pan pochodzi, panie Schymura? – zadał pytanie pozornie obojętnym tonem.

– Ze Śmieszkowa, Herr Kriminalassistent!

– Ze Śmieszkowa... – powtórzył jak echo. – Ze Śmieszkowa. Tak... To już wszystko rozumiem, nawet niebo sprzysięgło się dzisiaj przeciwko mnie – mówił pod nosem.

Reiner i jego podkomendny patrzyli po sobie bez słowa, bojąc się odezwać.

– A powiedzcie mi, Schymura, kto kazał odesłać automobil z Cegłówki? – asystent kryminalny zaatakował znienacka po krótkim milczeniu.

– Automobil? – dla pomocnika żandarma rozmowa z gościem z Głogowa była ewidentnie ponad siły.

– Właśnie, Schymura! – Reiner uznał za stosowne interweniować, zanim dyskusja przybierze niewłaściwy kierunek. – Na drugi raz, jak mi odeślecie automobil burmistrza z miejsca oględzin, szpicrutę złamię na waszej dupie, zrozumiano? Pan asystent kryminalny musiał rowerem jechać prawie dwa kilometry w tym nieznośnym skwarze. Rozumiecie, Schymura? – grzmiał. – Nigdy więcej!

– Tak jest! – ton głosu i pytające spojrzenie pomocnika żandarma mówiły coś zupełnie przeciwnego. Zastanawiał się w duchu, o co chodzi szefowi? Przecież nic nie słyszał o odsyłaniu żadnego automobilu! Nie mówiąc o tym, że w mieście wszyscy doskonale wiedzieli, iż Reiner wszędzie chodzi na piechotę, czasami tylko korzysta z bicykla, nigdy z automobilu, którego boi się jak diabeł święconej wody!

Schymura już chciał coś powiedzieć, gdy zaterkotał telefon.

– Odbierzecie czy będziecie tak stać do Wielkiego Piątku?! – krzyknął Reiner.

– Gendarmeriegruppenposten Schlesiersee⁹ – pomocnik żandarma odebrał telefon. – Będzie rozmowa z Głogowem – wyciągnął rękę ze słuchawką.

⁹ Gendarmeriegruppenposten Schlesiersee: posterunek żandarmerii Sława.

- Kto dzwoni? – spytał Reiner.
- Schymura wzruszył tylko ramionami.
- To do mnie – głos Habichta był zmęczony.

ROZDZIAŁ 4

Błyskawiczną karierę uzdrowiska stającego się zapleczem turystycznym dla mieszkańców Głogowa, Wrocławia, a nawet Berlina, Sława rozpoczęła dokładnie 16 września 1927 roku. Tego to właśnie dnia hrabia Heinrich Karl von Haugwitz, właściciel majątku Sława-Przybyszów, zezwolił na wykorzystanie Jeziora Sławskiego do celów turystycznych. Już wiosną następnego roku owe prawa wydzierżawił Paul Altmann, pochodzący z Polski optant, który zainwestował w budowę odpowiedniej infrastruktury. Zaczął od postawienia mola, które jednocześnie pełniło funkcję pomostu dla trzech łodzi motorowych. Jedna z nich – „Potsdam” – oferowała zarówno rejsy wokół całego jeziora, jak i wycieczki częściowe.

W 1930 roku do dyspozycji plażowiczów były już 52 kabiny kąpielowe. Luksusowe, murowane, żadna tam sezonowa prowizorka! Do tego dochodził podjazd dla automobili oraz bezpłatny parking. Dwa lata później na plażę nawieziono 600 kubików świeżego piasku, następnie kilkadziesiąt metrów od brzegu wybudowano trzymetrową zjeżdżalnię. Altmann wynajął również ratownika, aby strzegł bezpieczeństwa turystów, których na plaży mogły pomieścić się aż 2 tysiące. Jak grzyby po deszczu wyrastały też wypożyczalnie kajaków i łodzi.

Jednak największy splendor wśród gości przybywających nad Śląskie Morze – jak nazywano jezioro z racji ogromnej wielkości – przyniosła Altmannnowi budowa jadłodajni „Dom na plaży”. Szybko zasłynęła z potraw ze świeżo zło-

wionych ryb: suma, węgorza, sandacza, szczupaka, karpia, miętusa czy lina. Niekiedy można też było zamówić pieczone raki. Dania konsumowano albo w lokalu, albo przy stolikach ustawionych niemal nad brzegiem jeziora. Miejsc wystarczało na 250 osób! Dwa razy w tygodniu w „Domu na plaży” przygrywała również orkiestra, tancerze mieli do wyboru parkiet albo salę taneczną unoszącą się na wodzie.

Do dyspozycji turystów w mieście były w tym czasie dwa hotele i cztery gospody. W 1935 roku Altmann zaś, na fali sukcesu „Domu na plaży”, postawił nie mniej słynną „Kolumnadę”. Restauracja była niezwykle charakterystyczna, a to ze względu na ścianę widokową od strony jeziora, praktycznie składającą się tylko z wielkich przeszklonych okien, które można było podnieść, otwierając lokal prawie że na oścież. Budynek postawiono na samym brzegu, jego połowa wisiała nad wodą, wsparta na betonowych filarach obmywanych falami. Siedząc za ósmioosobowymi stołami można było delektować się widokiem bawiących się w wodzie osób, sycąc przy tym delikatną bryzą oraz frykasami z kuchni. Kawalek dalej postawiono też „Zajazd nad jeziorem” na 65 łózek. Można także było wynająć pokój u osób prywatnych, do wyboru było kilkadziesiąt lokalizacji.

Lata 30. XX wieku były więc czasem niezwykle dynamicznego rozwoju turystyki w Sławie oraz pobliskiej Lubogoszczy i Radzyniu, a także coraz bardziej rosnącej popularności miasteczka i okolic na mapie turystycznych atrakcji Prowincji Dolnośląskiej. Nic więc dziwnego, że wczasowicze i rekonwalescenci ciągnęli nad Śląskie Morze jak muchy do miodu. Jednym z najbardziej znamienitych gości był Ludwig Manfred Lommel, śląski kabaretysta znany z audycji radiowych, który przyjeżdżał do Lubogoszczy na polowania.

Potencjał miasteczka dostrzegły też władze prowincji, które zamierzały zainwestować ogromne pieniądze w rozbudo-

wę Sławy jako kurortu organizacji „Kraft durch Freude”¹⁰, nazistowskiej przybudówki zajmującej się organizowaniem masowych imprez turystycznych. W planach było między innymi stworzenie licznych piwiarni na rynku. Przeciwno tym zamierzeniom walczył pastor ewangelicki, ale i jego starania spaliłyby na panewce, realizację dalekosiężnych planów wstrzymał dopiero wybuch wojny.

Mimo upływu lat, rejsy „Potsdamem” nadal stanowiły jedną z największych atrakcji Śląskiego Morza. Dlatego też Franziska von Häften nie musiała długo namawiać przyjaciółki. Ta, gdy tylko dzień wcześniej postawiła nogę na sławskiej ziemi, ochoczo przystała na propozycję niedzielnej wycieczki. Cieszyła się na nią jak dziecko na pierwszego w życiu bujanego konika, nic więc dziwnego, że obleciał ją strach na widok kolejki turystów okupujących molo. Policzyła szybko oczekujących, wyszły jej dwa tuziny, odetchnęła z ulgą.

Kiedy hrabiny ustawiły się na końcu kolejki, ta drgnęła. Chwilę później trzymały już w dłoniach szczęśliwe bilety. Najlepsze miejsca na dziobie były już zajęte, tak więc pozostały im miejscówki tuż przy kabinie sternika. Kobiety jednak nie wybrzydzały, bo i stąd miały przepiękny widok na jezioro.

Zaraz po odbiciu od pomostu, stateczek wziął kurs na Ptasią Wyspę, terkotem silnika irytując schowanych w szuwarach wędkarzy, korzystających z bogactwa Śląskiego Morza.

*

Habicht spodziewał się rozmowy z dyżurującym policjantem, ale okropnie się pomylił. Nagle zmienił uchwyt słuchawki telefonu na taki, jakby była skorpionem, który w każdej chwili mógł go śmiertelnie ukłuć. Nic dziwnego, dzwonił bowiem komisarz kryminalny Adolf Lausch, szef głogow-

¹⁰ „Siła przez radość”.

skiej Kripo¹¹, mający opinię wielkiego skurwysyna, opinię, zdaniem Habichta, ani trochę nieprzesadzoną.

– Herr Kriminalassistent, czy panu się wydaje, że szef głogowskiej policji kryminalnej w niedzielne popołudnie nie ma nic lepszego do roboty, niż czekać, aż jeden z jego najniższych stopniem podwładnych łaskawie zechce do niego zadzwonić i zdać wstępny raport? – ton głosu Lauscha nie pozostawiał wątpliwości co do nastroju właściciela.

– Herr Kriminalkommissar, nie myślałem, że pan osobiście czeka na mój raport... – rzekł Habicht nerwowo.

– To, że pan nie myślał, to ja wiem – warknął. – Między innymi dlatego wciąż jest pan tylko asystentem kryminalnym. Pańscy koledzy równi panu stażem pracy w Kripo od dawna są już nadasyntentami czy sekretarzami kryminalnymi – głos Lauscha do złudzenia przypominał szczekanie psa. – Ale ich stać na dużo więcej niż tylko ganień za bimbrownikami.

Habicht milczał, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Jest tam pan jeszcze?! – wrzasnął Lausch.

– Jestem, Herr Kriminalkommissar!

– Niech pan melduje, co pan już wie – dodał nieco łagodniejszym tonem.

Asystent kryminalny opowiadał krótko, ale ze szczegółami. Największy nacisk położył na – jak to określił poetycko – istną uderzeniową hekatombę na ciele ofiary.

– Naliczyłem dziewięć śladów po ciosach, ale może się okazać, że ran jest więcej, starałem się bowiem jak najmniej dotykać ciała, zanim nie zjawi się nasz fotograf i laborant – wyjaśnił.

– Rozsądnie – w ustach Lauscha zabrzmiało to jak największy komplement. – Fotograf będzie za dwie godziny.

– Dopiero?

– Ściągamy go z Obory.

¹¹ Kripo: skrót od Kriminalpolizei (policja kryminalna).

– Herr Kriminalkommissar, chyba źle usłyszałem – Habicht zatkał ręką drugie ucho. – Ściągacie go z obory?

– Na litość boską, Herr Kriminalassistent! Z Obory: dzielnicy Głogowa! Był na weselu, trochę trwało, zanim chłopcy z obyczajówki, których poprosiłem o pomoc, go dobudzili.

– Znaleźliśmy też ślady białego proszku – meldował dalej.
– Podejrzewam, że to mąka, ale na wszelki wypadek pobrałem próbkę do ekspertyzy w Instytucie Techniki Kryminalistycznej.

– Proszę ją oddać fotografowi, prześlę ją dalej do Berlina.

– Myślałem, że przywiozę ją sam, wracając wieczornym pociągiem do Głogowa...

– Pan znowu myśli Herr Kriminalassistent, szkoda tylko, że nie o tym, o czym pan powinien! – Lausch był już z powrotem dawnym Lauschem. – Zostaje pan w Sławie do odwołania, zrozumiano?

– Tak jest, Herr Kriminalkommissar!

– Gdzie pan się zatrzymał? – kolejna zmiana nastroju.

– Na kwaterze prywatnej u Adolfa Weicherta, Landrat-Neumann-Strasse 6.

– Na czas prowadzonego śledztwa przeniesie się pan do hotelu. Mają tam chyba jakiś hotel?

– Mają dwa hotele – Habicht był kompletnie zbity z tropu.
– „Złotą koronę” oraz „Orzeł Rzeszy”.

– To proszę wybrać, gdzie chce się pan zatrzymać.

– Tak jest! – wciąż nie mógł uwierzyć we własne szczęście.
W tym jednym momencie zamarzył, aby śledztwo w sprawie morderstwa polskiej robotnicy przymusowej trwało wieczność.

– Herr Kriminalassistent... – Lausch wstrzymał głos w sposób, który u jego podwładnych powodował niemożliwe do opanowania drżenie kolan. – To jest pańska pierwsza tak poważna sprawa... – zrobił kolejną pauzę.

Habicht słuchał jak zahipnotyzowany. Gdyby słuchawka telefonu faktycznie była skorpionem, pozwoliłby jej w tym momencie głaskać się po całej twarzy.

– Herr Kriminalassistent, to dla pana wielka szansa – powtórzył.

– Tak jest! – stuknął obcasami tak gwałtownie, że żandarmi, którzy przysłuchiwali się rozmowie, aż podskoczyli.

– W tym przypadku wyjątkowo będzie pan omijał drogę służbową i raporty będzie pan składał mi osobiście, z pominięciem nadsekretarza kryminalnego Martina Böhme. Czy to jasne?

– Tak jest! – kolejne stuknięcie obcasami.

– Bardzo się cieszę, panie Antonie, że się rozumiemy.

Habicht stał jak słup soli: wśród głogowskich policjantów kryminalnych krążyły legendy o tym, iż Lausch niezwykle rzadko pozwalał sobie na takie poufałości względem podwładnych. To mogło oznaczać, że morderstwo Polki było ważniejsze, niż początkowo przypuszczał.

– Jeszcze jedna rzecz – komisarz kryminalny mówił tak, jakby dopiero co polizał plasterek cytryny. – Podczas śledztwa będzie pan współpracował nie tylko z miejscową żandarmerią, ale i Sturmbannführerem SS Carlem Düchterem mieszkającym w sławskim pałacu. Za moim pośrednictwem Sturmbannführer Düchter zaprasza pana na filiżankę kawy.

– Dobrze, Herr Kriminalkommissar – teraz Habicht już miał pewność, że śledztwo nie będzie zwykłym śledztwem.

– Gdy tylko przemelduję się do hotelu...

– Natychmiast! – przerwał mu gwałtownie. – Uda się pan do pałacu natychmiast, jak tylko skończymy rozmawiać. Zrozumiano?

Habicht otworzył usta, ale Lausch nie czekał na potwierdzenie, przerwał połączenie, odkładając z hukiem słuchawkę.